№ 47. Warszawa, dnia 22-go Listopada 1908-go roku. Rok XLIV

BLUSZCZ

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie miesiecznie kop. 60, kwartalnie rub. 1 kop. 80; półrocznie rub. 3 kop 60; rocznie rubli 7 kop. 20.
Na Pradze w księgarni S. Rzymskiego, Wileńska, 4.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: rocznie rub. 10, kwartalnie rub. 2 kop. 50.
Cena numeru pojedyńczego kop. 20.

Wychodzi pod kierunkiem literackim
Zofii Seidlerowej.
Ekspedycya główna: ulica Nowy-Swiat, 41.
Ogłoszenia przyjmuje Administracya „Bluszczu“ po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austryackiem: we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie złr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cent- 50.
W Krakowie u D. E. Friedleina; kwartalnie złr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cent. 50.
W W. Kś. Poznańskiem dla abonentów „Dziennika Poznańskiego.“ w Poznaniu kwartalnie 3,60 mk.; z przesyłką pocztową 4,30 mk.

Podróżomania.

(Nieco spóźnione rozpamiętywania powakacyjne).

Niema zakątka w Europie, gdzieby podczas miesięcy letnich nie znaleźli się Polacy, jakkolwiek pomiędzy narodami podróżomanów nie zajmujemy miejsc najpierwszych. Należy się ono przedewszystkiem Anglikom i Niemcom, stanowiącym dwa najwybitniejsze typy turystów współczesnych.

Pewne grupy Anglików podróżują dla oszczędności głównie. Przyzwyczajeni do komfortu, coraz mniej mogą otaczać się nim w ojczyźnie swojej, gdzie ceny artykułów spożywczych, mieszkań, ubrania, rozrywek, rosną w niebywały sposób. Lord, chcący utrzymać dom na dawną stopę, musi go zamknąć na trzy, cztery lata i wysłać rodzinę w podróż: do Włoch, Francyi, Szwajcaryi, gdzie, ciągnąc w ślad za sobą straszaka drożyzny, podbijając ceny hoteli, pensyonatów, restauracyi wprowadzając zbytek, — odkłada jednak tyle, że po latach wędrówki może przez rok jeden znowu błyszczeć wraz z rodziną w salonach londyńskich, pokazywać się na wyścigach, koncertach, w teatrach, nie mając miny podupadłej wielkości.

Cook, potężny dostawca podróżnego towaru z nad brzegu Tamizy, rzuca rozkazy: hotelarz Włoch, Niemiec, Szwajcar, Francuz spełnia je ślepo.

I stają na kwietnych przełęczach, na wybrzeżach jezior błękitnych, na stokach wzgórz oliwkowych, na placach i bulwarach gwarnych stolic, pałace-hotele, w których ziewa zblazowany sportowiec angielski.

Służba musi go rozumieć. Ze spleenem i sportami obwozi po świecie tęgą wolę swoją, do której nagina się każde środowisko.

Dla niego do południowych śniadań przychodzić można bodaj w płaszczu kąpielowym, aby tylko mieć przygotowany frak (damy suknię w dekolt) na obiad wieczorny. Dla niego drzwi i okna sal jadalnych muszą być otwarte naoścież. Jęczą nieprzyzwyczajeni do przeciągów cudzoziemcy; mniejsza o nich, aby jego upodobaniom stało się zadosyć. Tereny i gry sportowe: golfy, tennis, polo, water polo idą za nim wszędzie. Ciągnie za sobą tęgą, obfitą, zasobną kuchnię, bez której nawet uboższy anglik nie rozumie życia.

Gdy raz w rozmowie ze mną pewna młoda Angielka zaczęła wyliczać potrawy, spożywane na pierwsze śniadania, a więc: jaja, ser, mięso, ryby wędzone, ciastka, owoce, zawołałam zdumiona:

— I wy to wszystko na czczy żołądek strawić możecie?

Odpowiedziała mi na to:

— Ależ rozumie pani, przecież jeżeli się nie je całą noc, to trzeba dobrze najeść się z rana...

Argument, wobec którego zamilkłam.

Prócz lordów i plutokracyi, przejeżdżają kanał La Manche rok rocznie tysiące średniozamożnych rodzin angielskich, które na stałym lądzie taniej, niż u siebie, spędzić mogą lato. Ci nie szukają pałaców-hoteli, ale pewnego wykwintu: wielkie sale przewiewne, kwietne tarasy, twardy plac tennisowy, tereny golfowe muszą mieć wszędzie.

Średnio-zamożny anglik, dostawszy się na stały ląd, mimo nieznajomości języków (do wyjątków należą jednostki, mówiące jako tako po niemiecku lub francuzku) trafi zawsze do najtańszych, najschludniejszych pensyonatów-hoteli. Ma on swoją pocztę pokątną. Jeden drugiemu przekazuje własne doświadczenia i odkrycia, a sieć tych pantoflowych wskazówek oplata Londyn cały wraz z jego przedmieściami, czyli tak prawie jakby całą Anglię.

Są tanie a bardzo często i wygodne pensyonaty w klasztorach francuzkich na całem wybrzeżu Bretanii, gdzie utrzymanie wraz z mieszkaniem wynosi od 3 do 4 fr. dziennie najwyżej (jakieś rb. 1 k. 20 do rb. 1 k. 50), a do których francuz żadnym sposobem dostać się już nie może, bo wszystkie miejsca na kilka lat z góry zamówione przez Anglików.

Spotykałam paryżan, którzy co rok dobijali się o takie pensyonaty i zawsze napróżno, bo ubiegali ich Anglicy.

Żżyma się na nich burżuj francuzki, ale przejmuje od nich z przerażającą szybkością nietylko nałogi i zwyczaje życia: modę five o'clock garden tea (ogrodowa herbata o godz. 5-ej), sportów, obiadowych strojów, ale i okolicznościową terminologię.

Wynikają ztąd takie anomalje, że pod pomnikiem, wzniesionym na cześć żołnierzy, poległych w wojnie z Anglią np. staje ławka, a na niej napis: „Touring club“. W słowniku swoim związek podróżników francuzkich nie mógł znaleźć nazwy dla siebie.

Są yankesi, którzy nie przez oszczędność i nie dla wygody letnich wywczasów rzucają ojczyznę. Tak zw. „globtreterzy“, armia, legion cały, oblecieć muszą wszystkie, gwiazdkami w Baedeckerze oznaczone zakątki, dotknąć się własnemi rękami każdej osobliwości, zmierzyć własnym wzrokiem wszystko, co — według wskazań czerwonych książeczek — godne widzenia.

Olbrzymie pociągi Cooka rozwożą ich po świecie.

Płaszcz gumowy, pled na ramionach, czapka nieprzemakalna, aparat fotograficzny w kieszeni, to jedyne podróżne przybory turysty-sportowca. Żadnych tobołków przy sobie, ręce muszą być swobodne.

Teoryę swobodnej ręki uznaje też i Niemiec-turysta, ale tylko... lewej. Prawa — w drodze na szczyty Jungfrau czy do cichej, bezpretensyonalnej dolinki, dźwigać musi kij olbrzymi. Na plecach damskich i męzkich wielki wór płócienny z bielizną i zapasami. Panowie w pończochach, krótkich spodniach i kurtkach myśliwskich, panie w spódnicach pozapinanych na pętelki lub sznury gumowe w pasie.

Urąga prawu estetyki postać Niemca a zwłaszcza Niemki turystki, ale wślad za nimi idzie taniość, dobry humor i wielki optymizm podróżny.

Niemiec, nawet zamożny, nie lubi rzucać groszy napróżno ale — wypoczynku letniego nie pojmuje inaczej, niż pod postacią podróży. Wszędzie go też pełno. Na wszystkich trak-

tach podróżnych współrodacy stawiają dla niego niedrogie, czyste hotele. Każdy fenig wydany musi zwrócić się sumą wrażeń przyjemnych: na cokolwiek spojrzy zatem, wszystko budzi w nim zachwyt. „Colossal, grossartig, piramidal!“ nie schodzi z ust niemieckiego turysty. Nigdy niechęci, nigdy niezadowolenia. Z tobołkiem w ręku, z trzyfuntowym kijem na plecach, z kuflami piwa w żołądku czuje się zdrów i wesół nawet po całodziennym marszu.

Wygodne trzecie klasy muszą być dla Niemca-turysty, sklepy z tandetą tanich pamiątek, piwo, ser, duszne kawiarnie...

Turyści innych narodów?

Nabab amerykański podróżuje tylko własnym pociągiem, samochodem. Na jedno skinienie wyrastają przed nim ze skał najdzikszych, z odmętów nadmorskich przepaści — pałace, wille, szalety, powstają w dokach okręty o wyściełanych złotemi makatami kajutach, sali jadalnej ze srebra, gobelinowej bawialni.

Co trzy, cztery lata musi być w Europie każdy średnio zamożny amerykanin dla... oporządzenia się. Ubranie — w południowej Ameryce zwłaszcza — bardzo drogie i w największych miastach trudno dostać coś prawdziwie gustownego, modnego. Dla nich więc, jak również i dla Anglików, otwierane są sklepy i pracownie z przedmiotami, zastosowanymi do ich upodobań. Dla nich — na głównych gościńcach turystycznego traktu — kwitnie handel starożytnościami. Amerykanin nie wraca z Europy, nie obładowawszy się starymi obrazami, rzeźbami, wazonami, szkatułkami, świecznikami. Uganiają się za niemi i Anglicy, ale już z mniejszą znacznie furyą.

Narody południowej Europy nie lubują się w turystyce.

Francuz jeździ dużo, ale po swoim kraju tylko. Czasami ktoś, chciwy przebajecznego komfortu lub... czystości, której nie ma u siebie, wpada na wybrzeża angielskie, gdzie jeden dzień pod względem wydatków równa się tygodniowemu pobytu w Bretanii; zresztą jeziora włoskie, Szwajcarya, to punkty dla Francuza najdalsze. W paszczę mroźnych lodowców idzie paryżanka, jak na corso: w tiulach, gazach, koronkach. Bulwar des Italiens, czy wycieczka w głąb Jungfrau, — popis toalety musi być zawsze. Pieszych wycieczek nie lubi, bo... trzeba brać bucik angielski. Do morza wchodzi w gorsecie, w długich jedwabnych pończochach i rękawiczkach po same ramiona.

Włosi, jak Francuzi, włóczą się tylko u siebie. Holendrzy, Czesi w podróży idą śladem Niemców. Magnaci węgierscy trzymają się Anglików.

Rosyanie?

Lejkin i Marya Baszkircew przedstawili dwa ich typy wybitne: kupca milionera, który, chcąc poznać wszystko, wpada w sieć najkomiczniejszych przygód i — gładkiego kosmopolitę: Anglika z Anglikami, Francuza we Francyi. Zna ich każdy, kto raz chociaż przejechał Włochy, Niemcy, Szwajcaryę.

A my?

Po Anglikach, Niemcach, Amerykanach, Rosyanach, którzy, ostatniemi czasy zwłaszcza, zalewają środkową i południową Europę, — zajmujemy niewątpliwie piąte z kolei miejsce w narodach podróżomanów, rywalizując na tej placówce z Czechami.

Czy do turystyki wszechświatowej wnieśliśmy jednak jaką cechę odrębną?

Jedziemy najczęściej dla przewietrzenia swego „von“ w badach pierwszorzędnych. Stajemy wówczas w pałacach-hotelach. Tytuł barona, hrabiego lub księcia przy pierwszem lepszem drobno-szlacheckiem lub mało-mieszczańskiem nazwisku — to przedewszystkiem wyróżnia nas z pomiędzy turystów innych narodowości. Zresztą jesteśmy kosmopolityczną mimikrą, dostosowaną w całej pełni do hotelowego środowiska I-ej klasy. Niech jednak w gronie cudzoziemców znajdzie się grupa rodaków, — wnet znika harmonja: von „ski“ nie chce usiąść przy jednym stoliku z de „ckim“, nie wiedząc, kto go rodzi?...

Gdy Niemiec śmiało podchodzi do Niemca, gdy Czech, Węgier turysta, przybywszy w obce miejsce, znajdzie zawsze punkt zborny współziomków, którzy go przyjmą jak brata, — Polak, nim przywita Polaka, musi poznać jego rodowód, stosunki, hierarchję towarzyską, stan majątkowy i omal nie menu codziennych obiadów i kolacyi.

To druga wybitna cecha turystów polskich na obczyźnie.

Czy możemy nazwać się narodem podróżomanów?

I tak, i nie. Podróż zagranicę w lecie weszła u nas w nałóg. Każdy średnio-zamożny inteligent czy burżuj, nie mówiąc o arystokracie, który właściwie w kraju, a nie we Włoszech, Francyi, Szwajcaryi bywa gościem, musi dwa, trzy razy w życiu wyspacerować się po bulwarach paryzkich, przejechać przez lasek Buloński i Pola Elizejskie, zgrać się w Monte-Carlo, zobaczyć na własne oczy Sąd Ostateczny Michała Anioła i Stanze Raffaela, przejść przez Uffizzi i Pitti, pokołysać się gondolą na lagunach, inaczej — zdaje mu się, że jest barbarzyńcą-azyatą.

Narzekamy na biedę, tysiące prac dla braku środków leży odłogiem, tysiące potrzeb czeka na zaspokojenie; ściskamy kieszeń rok cały, żeby — gdy przyjdzie lato — rzucić ją w paszczę zagranicznych hotelarzy.

Spotykamy się ze sobą, my, nędzarze, wszędzie. I... co przywozimy z tych wędrówek?

Najczęściej tylko wielkie zmęczenie i garść powierzchownych, kinematograficznych wrażeń, które obnosimy po salonach.

Gdybyśmy chcieli jednak zrobić rachunek sumienia poważny, ścisły, musielibyśmy przyznać, że zysk kalejdoskopowych wspomnień nie wart poniesionych ofiar.

Nie mamy w sobie urzędowego optymizmu Niemców. Jesteśmy raczej pessymistami; krytykujemy wszystko, nudzimy się wszędzie, nie umiejąc wyzyskać dobrych stron turystyki w całej pełni.

Jeżeli spotkamy gdzieś na odludnem wybrzeżu lub w cichem górskiem ustroniu skrzywioną jakąś parę, napewno powiedzieć możemy że to Polacy. Anglik z żoną objedzie rowerem wszystkie zakątki, Niemiec obleci je pieszo, Francuz przefrunie automobilem. My— sportów nie używamy, chodzić nie lubimy, kwasimy się więc. Mąż żonie, żona mężowi robi wymówki, że wpadli w zakazaną dziurę... Galerye? Muzea?... Kto nie męczy się niemi? — Zwiedzamy je wszakże, bo nie wypada raz choćby nie przejść przez sale Luwru i różnych innych panteonów sztuki... Nie mogłoby się powiedzieć inaczej: „byłem tam, widziałem...“

Ażeby podróż mogła przynieść jakąkolwiek korzyść, trzeba ją uplanować i przygotować się do niej na czas dłuższy naprzód.

Kogo obchodzi sztuka, niech wybierze sobie miasta, gdzie znajdzie najmilsze upodobaniom swoim pamiątki. Zwiedzi jedno, dwa, ale dobrze, przetrawi wszystko widziane, z galeryi wybierze kilku umiłowanych mistrzów, którym czas i uwagę poświęci, nie uganiając się za objęciem jaknajwiększej ilości. Kto śledzi postępy zdrowotnych urządzeń, technikę budowlaną miejską, ulepszenia w sposobach i środkach komunikacyi, — niech odpowiednio do tego kieruje szlak swej podróży, pamiętając zawsze, że lepiej zobaczyć mniej a dobrze, aniżeli dużo a źle.

Podróże coroczne nie dają takich korzyści, jak wyjazdy co lat parę lub kilka, pamięć bowiem, przeciążona nawałą obrazów i wiadomości, przestaje utrwalać je.

Ciekawość: jak też jest u obcych? — pędzi nas zwykle na oślep, gdzie wypadnie. Ktoś poradził Belgię, — jedziemy do Belgii, ktoś następnego roku wskazał Szwecyę, jedziemy do Szwecyi, zupełnie jakgdyby chodziło o zobaczenie nowej seryi obrazów w jakim fotoplastikonie. Chcemy podróżować a nie wkładamy w to duszy, nie badamy samych siebie, co właściwie w krajach obcych najwięcej nas obchodzi, co najpoważniejszą korzyść i największą przyjemność zrobić by nam mogło?

Paryż, Monachium, Neapol, Chrystyania, góry, morze, wszystko jedno, aby gdzieś wyjechać. Błąkamy się bez celu i, wydawszy moc pieniędzy, wracamy najczęściej z nudą w duszy, a fałszywym zachwytem na ustach.

W społeczeństwach takich, jak my, biedaków, nie wolno lekkomyślnie rzucać pieniędzmi! Rozrywki, pokrzepienie, zmiana wrażeń, należą się nam wszystkim, a podróż, niewątpliwie, daje ich najwięcej; to też niema względów, któreby obowiązywały do wyrzeczenia się jej zupełnego. Ale — przedewszystkiem — nauczmy się podróżować nie dla popisu; lećmy w świat nie na oślep, gdzie się da, ale z pewnem przygotowaniem, z planem, dobrze obmyślonym, opartym na potrzebach duszy i umysłu naszego.

Pamiętajmy o tem przedewszystkiem, że nie nauczymy się nigdy poznawać obcych miejsc, ludzi, urządzeń, nie wdrożywszy się w metodę poznawania ich u siebie.

Kto z nas podróżował po własnym kraju? Na 100 spotkanych zagranicą warszawskich turystów, 10-ciu może zwiedziło Płock, Kazimierz, Puławy, Lublin, Sandomierz i to — o ile pociągnął ich tam interes lub zaproszenie krewnych.

Zagranicę jeździmy chaotycznie, bez planu, jak bagaż, który ma oblecić pewną ilość kilometrów, ale zawsze jeździmy po kraju własnym...

Ktoby zadawał sobie trud taki i umęczenie?

C. Walewska.

Eugenia Żmijewska.

PŁOMYK.

CZĘŚĆ TRZECIA.

TOM DRUGI.

XXIV.

Nad głową Doli, jak szpady, krzyżowały się ostrza intrygi i pożądliwości. Instynktem kobiecym raczej niż świadomie czuła, że wisi nad nią groza, i lęk sprowadzał gorączkę.

Doktór po parę razy na dzień badał ciepłotę, za pomocą termometru. Pewnego wieczora dotknął jej nogi. Szarpnęła nią z całych sił.

— Proszę leżeć spokojnie—upomniał ją—wstyd doprawdy: widzieć zło we wszystkiem. I co pani sobie wyobraża? To tak samo, jak auskultacya płuc...

Odtąd przy tego rodzaju badaniach temperatury leżała spokojnie, choć ogarniał ją wstyd i strach, ale bała się jeszcze bardziej, aby jej znowu nie przypisał podejrzeń, których sama przed sobą określićby nie umiała, choć ich się pozbyć nie mogła. A on za każdym razem badał sumienniej, dokładniej i... zwiększał wciąż pole obserwacyi...

. . . .

— Mój Boże, taka młodziutka! — Wierzyć się nie chce — woła, wchodząc do numeru Doli fertyczna pacyentka z przyległego pokoju... Panią to chyba przywieźli po słabości. Nie słyszałam, żeby pani jęczała. Ja bo zawsze krzyczę w niebogłosy. Już drugi raz tu jestem. Jakże się pani czuje?

— Właściwie nic mnie nie boli, tylko jestem osłabiona — odpowiada uprzejmie Dola.

— Tak zwykle bywa... potem. Mój Boże! Pani zupełnie *na to* nie wygląda. *On vous donnerait le bon Dieu sans conffession.* Bo to musi pani wiedzieć: jestem nie byle kto. Tak, tak, jestem z dobrego domu. Miałam matkę—co nie sztuka, ale nawet i ojca. Żyli ślubnie, a trzymali do mnie bony, guwernantki — umiem, jak pani widzi, po francuzku, a i po niemiecku także, trochę nawet po angielsku. Ale żadna francuzczyzna *od tego* nie obroni. Człowiek głupi, młody—zakocha się, potem da się skrzywdzić, a z krzywdy — ot co! Pani przynajmniej dobrze trafiła. Stary, ale bogaty i rozkochany. Tacy najpewniejsi. Można z nich ciągnąć łyko. Widziałam przez szparę. Dystyngowany. Ja-bo przepadam za dystynkcyą. Podobno, i hrabia. To także ma swoje znaczenie... A dziecko żyje? Na mamkach?... Cóż to? Co pani się stało?

Dola leżała śmiertelnie blada, ręce jej zaciskały się kurczowo. Powieki opadły.

Gadatliwa kumoszka, „starsza panna“ z pierwszorzędnego magazynu, wabiąca się „Marotą“, pobiegła po intendentkę zakładu, panią Dzbańską.

Zaczęły cucić Dolę. Była przytomną, lecz nie miała siły dać znaku życia. Zresztą nie chciała.

Potoki wymowy Marty były niewyczerpane.

— Moja pani—ładna, bo ładna, ale niemrawa — terkotała.—Głupiutka, niby trzech zliczyć nie potrafi, a do czego innego, to ma rozum... Taki bogacz, i hrabia! Mój Boże! A jak to ślicznie mówi, jakby śpiewał... Będzie o niej pamiętał do końca życia... i po śmierci może. A cóż tam było: syn czy córka?

Usta Doli wykrzywiły się kurczowo.

— Niechże pani tak nie trajkocze nad głową chorej — upominała Martę pani Dzbańska. — Pani, to nie może chwili posiedzieć bez gadania. Po co tu było włazić? Pewno jej pani palnęła jakieś głupstwo, a teraz wszystko na mnie się skrupi.

— Co jej miałam palnąć, niby to ona sama nie wie. Także niewiniątko!... W całej Warszawie o tem głośno.. I rada jestem nawet że ją poznałam. Będę miała o czem opowiadać w magazynie... A wie pani, podobno stary hrabia był firmantem.. korzystali inni: jakiś oficer od huzarów, mówią nawet—ale to już pani powiem pod największym sekretem...

Sekret został wrzucony w ciekawe zapewne ucho pani Dzbańskiej.

— O! to ananas! —zadecydowała Marota.

— Nie nasza rzecz, moja pani — zwróciła jej uwagę pani Dzbańska.

Budującą rozmowę przerwało wejście doktora.

— Cóż pani tu robi? — rzekł od proga do „starszej panny“.

— Przyszłam ratować.

— Na to jest personel służbowy. Proszę wracać do swego numeru.

— Czy pani pierwszy rok tutaj? — zwrócił się gniewnie do intendentki. Nie wie pani, że pacyentkom nie wolno składać sobie wizyt? Jeżeli to się raz jeszcze powtórzy, rozprawimy się ostro. A teraz proszę wyjść. Dola słyszała, co dokoła niej mówią, lecz słowa odbijały się jakby fotograficznie w mózgu, pozostawiając tylko ślad pustych dźwięków, nie wywoływały żadnych myśli ani wrażeń.

— Dlaczego pani oczu nie otwiera — pytał doktór, nachylając się nad nią. — Ja wiem, że pani nie jest zemdlona. Proszę na mnie spojrzeć.

Utkwiła wzrok w olejno malowanej ścianie i trzymała go na niej uporczywie. W uszach jedno tylko słowo: „łyko“, „łyko“, „łyko“ — powtarzało się jak cykanie zegara. Po za tem ani jednej myśli, tylko ten dźwięk pusty, utrwalony w mózgu przypadkowo. Męczyło ją to słowo, brzęczące bez końca, ale go odegnać nie mogła.

D-r Derkacz przesunął parę razy ręką po jej czole, następnie obu rękami wodził po jej twarzy — bardzo leciutko.

Słowo przestało brzęczeć w jej uszach Popadła w ciężki bezwład.

Doktór usiadł przy niej i patrzał długo z wielkiem natężeniem wzroku. Wreszcie odchylił kołdrę, ostrożnie, dotknął nogi — jednej, drugiej, ręka jego posuwała się wyżej, coraz wyżej, na twarz występowały ceglaste rumieńce, oczy bladły.

Wstał, przeszedł się po pokoju na palcach. Usiadł znowu przy chorej—nie u stóp lecz przy wezgłowiu. Koszula podnosiła się i opadała na wypukłej, twardej piersi.

Gorący oddech musnął Dolę. Otworzyła nagle oczy. Była już w nich myśl przytomna.

Doktór, wciąż nad nią nachylony, położył rękę na jej głowie.

— Ludzie bardzo źli — szepnęła takim głosem, jak gdyby prowadziła dalej rozmowę przerwaną

— Gorsi jeszcze nawet niż nam się wydaje, gdy o nich myślimy że są bardzo źli — przytwierdził — ale nic nie pomoże o tem myśleć.

Długą chwilę leżała w milczeniu z oczyma wpatrzonemi w ścianę. Rozważała widocznie jego ostatnie słowa, po chwili bowiem rzekła:

— Ja muszę myśleć, muszę coś obmyśleć, żeby ich przekonać, że nie jestem taką, jak mówią.

— Nikt jeszcze nie przekonał takich, którzy chcą wierzyć w zło... A któż pani tę plotkę powtórzył?

Znowu milczała długo, wreszcie rzuciła mu pytanie, pełne urazy:

— Dlaczego mnie pan tu przywiózł?

— Nie *to* wywołało plotkę. Mogę panią upewnić, że już oddawna krąży. A przywiozłem panią tutaj dlatego właśnie, żeby to, co mówią, pozostało i nadal—oszczerstwem.

— I pan o mnie tak myśli, pan, który mnie zna. Cóż inni?

— Myślę tak, bo znam i panią i... tamtego. Pani jest niewiniątko, a on rozpustnik i wuj... ma pewne przywileje... aniby się pani spostrzegła...

Osłoniła uszy rękoma.

— Niech pan tak nie mówi! Niech pan tak nie mówi! — zawołała ze wstydem.

— Muszę mówić żeby panią ostrzedz.

— Mnie ciągle ktoś przed kimś ostrzega. Nie, nie, dość już tego!

Urwała nagle. Obejrzała się po pokoju.

— Czy przynieśli już moje rzeczy? — spytała niespodziewanie.

— Są. Może pani ztąd odjechać, choćby zaraz.

— Dlaczego nie przynieśli tutaj?

— Garderoba pacyentek składana bywa w szatni. Z numerów usunięte jest wszystko, co mogłoby zajmować miejsce niepotrzebnie i psuć powietrze.

— Ja muszę mieć moje rzeczy—zaraz — natychmiast. Niech pan każe przynieść. Już dzisiaj w nocy myślałam: gdyby pożar wybuchnął, nie mogłabym nawet uciec. Mnie to doprowadza do gorączki. Ja pana bardzo proszę — niech mi się pan nie sprzeciwia.

Jestem taka biedna, wszyscy się nademną pastwią.

— Chyba nie ja. A na dowód, zrobię, co tylko pani każe. Panią trzeba słuchać — wiem.

Nacisnął dzwonek elektryczny.

Weszła posługaczka.

— Proszę tu zaraz przynieść kufer panny Zalińskiej.

— I futro i kapelusz i kalosze.

— Gdzie powiesić? – spytała służąca.

— Wnieście szafkę.

— No, chyba jestem dość posłuszny — rzekł po wyjściu posługaczki. — To się zupełnie sprzeciwia regulaminowi. Aż mi wstyd służby.

— Dziękuję panu serdecznie. Teraz będę spokojniejsza. Ale musi mi pan jeszcze dać słowo, że każdej chwili, jak tylko zechcę i kiedy zechcę, będę mogła ztąd wyjść, że mnie nikt nie będzie śmiał zatrzymać. Niech pan da słowo.

Uśmiechnął się.

— Dobrze, mogę dać słowo — rzekł — toć przecież nie forteca i nie więzienie.

Mówił to wesoło, z dobrodusznością, obliczoną na uspokojenie pacyentki. Znając ją zresztą, był pewien, że nie zdobędzie się na czyn tak energiczny.

— I pan to zapowie i intendentce i służbie?

— Zapowiem.

— Słowo?

— Słowo.

— I niech pan jeszcze zabroni wchodzić tutaj pani Dzbańskiej... Ja na nią teraz patrzeć nie mogę.

— Już jej pani nie zobaczy.

— Pan jest lepszy od innych.

— Zawsze to pani mówię. A chce pani na noc dozorczyni?

— Nikogo, nikogo. Chcę być sama zupełnie. Tylko niech się lampka pali.

— Dobrze. I ja odchodzę. Dobranoc.

. . . .

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ze snów i z widzeń.

Zamknięta moja księga klamry zczerniałemi,
Litery coraz bledsze—a wiotkie stronnice...
Ciemno w pustej komnacie; kaganek
zaświecę...
. . . .
Już niewiele należy się nam na tej ziemi...

Wiem, że pierwszy odejdę — bo jest moc
nad moce—
Ponad czas — ponad przestrzeń, nad
wszystko co ludzie
Zrobili — wymyślili... Czas spocząć po
trudzie,
Co się na konieczności rozprysnął opoce.

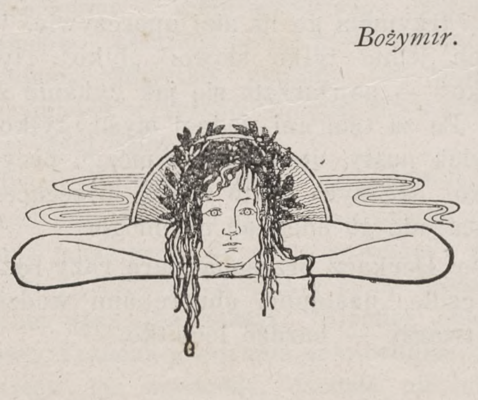
Gorzki—marny trud taki.. echo odpowiada
. . . .
W ciemnej pustej komnacie drży pulpit
pod księgą...
. . . .
O bądź błogosławiona przemożna potęgo!...
. . . .
Myśl ta — jako śmierć mocna —
zdeptana—nie pada!...
. . . .

Wiem, że pierwszy odejdę... Teraz jesteś
ze mną,
Dziś — jutro — w każdej chwili — choć
przepaść nas dzieli...
Myśl ku myśli pomostem wytrwałym się
ścieli...
. . . .
Lecz kaganek dogasa — ciemno będzie—
ciemno...
.

Wiem, że pierwszy odejdę w chłodny
szary ranek,
Zimową nocą, albo w mglisty dzień jesieni,
Wszak będziesz myślą przy mnie...
Nic się nie odmieni...
. . . .
W twojej pustej komnacie dogasa
kaganek...

W twojej zamkniętej księdze też czernieją
karty,
Druk blednie, inicyałów złoto pył okrywa...
. . . .
O bądź błogosławiona myśli — wiecznie
żywa...
. . . .
Lecz ja pierwszy odejdę — później szlak
otwarty...
. . . .

Bożymir.



Dlaczego?

Jakkolwiek nie należę do rzędu tych osób, które zwykły wychwalać ubiegłą przeszłość a przyganiać teraźniejszości, obracając się jednak w kole licznych znajomych, mam niejednokrotnie sposobność do obserwacyi, która staje się czasem powodem trudnych do rozwiązania dla mnie zagadek.

Jedną z tych właśnie, jest rozwijający się coraz bardziej pesymizm wśród młodziutkich przedstawicielek płci niewieściej, które wyszedłszy zaledwie z powijaków swego dzieciństwa, już zdają się być napojone goryczą i zniechęceniem do świata i ludzi, wydając o nich bezwzględnie sądy, nacechowane ostrą krytyką.

Czemuż to przypisać? Co jest powodem tej przedwczesnej zgorzkniałości panien naszych?

Przecież, stojąc zaledwie u progu niepoznanego dotąd życia i ludzi, nie mają one prawa sądzić ich nagannie, a choć obecny system wychowania kobiet, skłania się słusznie w stronę przygotowywania ich do twardej szkoły życia, niemniej jednak matki i wychowawczynie nie starają się chyba, odzierać młodych pokoleń z tych iluzyi na punkcie ideałów życiowych, bez których nietylko młodość byłaby bez uroku, lecz i dalsze istnienie nasze.

Najpiękniejszą nawet twarzyczkę dziewczęcą, ozdobioną najbardziej inteligentnemi promiennemi źrenicami — szpeci nadmiernie wyraz owego przedwczesnego zniechęcenia do świata, a gdy jeszcze z ust panienki popłyną ostre uwagi, czynione nad jednostkami lub całemi grupami społeczeństwa, popierane wykrzyknikami „nie cierpię ludzi! bo są źli i nic nie warci", „niewarto żyć!" i t. p., to doprawdy smutek ogromny ogarnia słuchających, i nasuwa się myśl, że ciężką wyda się droga życiowa owej młodej istocie z podobnymi poglądami, bez wyrozumienia dla błędów ludzkich.

Rażącemi są wprawdzie wady i śmieszności ludzkie, lecz któż jest wolnym od nich? Każdy, kto tylko nie jest zaślepionym samolubem, różne braki w sobie również dostrzegać musi. Jeśli zaś z owymi brakami ludzie nas znoszą, to i naszym obowiązkiem odwzajemniać im się w ten sam sposób.

Ile jest na świecie jednostek ludzkich, tyle jest przeróżnych natur, usposobień i charakterów zbliżonych tylko niektóremi podobnemi do siebie cechami. Analizować je, zastanawiać się nad niemi, potępiać lub chwalić — to rzecz ludzka, a każdy z nas dążyć powinien do tego, by mieć wyrobione własne na świat poglądy.

Dlaczego jednak obecnie młodzież nasza poglądy te opiera na najciemniejszych stronach swego społeczeństwa? Zrozumieć tego nie mogę i choćbym się miała wydać „powtarzającą za panią matką pacierz" muszę wyznać, że dawniej inaczej się działo wśród młodego kobiecego świata, a realizm, pesymizm i mizantropja, prawie wcale nie były nam znane.

Wszak i dawniej nie stąpano po różach, tylko ostre ciernie tak jak i dziś raniły znużone stopy życiowych wędrowców, czy to jednakże ludzie byli wogóle większymi idealistami i optymistami, czy też posiadali głębszą uczuciowość, lecz czytam opisy, słyszę twierdzenia, a i sama widzę, że teraźniejszy typ młodych panien, różni się wielce od dawniejszego.

Młodość bowiem, może przez poetyczność swej natury — rwała się duchem wyżej, serce czuło żywiej, tkliwiej i goręcej, a siła tych uczuć i wrażeń wyrabiała kobietę szlachetną i podniosłą, zwłaszcza, gdy trafiło na chwile pełne wzruszeń, niepokojów i ciężkich przewrotów społecznych.

Młodość taka brała wszystko do serca, głęboko z wyrozumiałością i poświęceniem — leżącem w naturze każdej kobiety.

Może w pojęciach obecnych, dawniejsza młodość była zbyt entuzyastyczną, lecz owe entuzyastki, nawet w cichem życiu domowem, wyrastały na bohaterki poświęcenia, obowiązku, idei, składające na ołtarzu dobra bliźniego w ofierze swe siły, zdrowie i życie, umiały zaś przez cały ciąg jego zachować tę słodycz kobiecości, to „coś“ dobrego i serdecznego, co im jednało ludzi i zniewalało serca, zwłaszcza szukające ulgi w mroczących duszę smutkach i zawodach.

Świat był, jest i będzie niedocieczoną tajemnicą, człowiek zaś wciąż wątpi, błądzi i błąka się chcąc ją odgadnąć, jednak sądzę, że młodość mniej czarno na świat i życie zapatrywać się powinna, a gdy to czyni, pytam się — dlaczego?

Matka-Polka

M. R. S.

„Historya Polski, podręcznik do nauki szkolnej i domowej, kurs średni“, przez J. Kisielewską.

Współpracownica „Bluszczu“, J. Kisielewska (Oksza), wydała w roku bieżącym u Fiszera dziełko wartościowe, z którem powinny się zapoznać osoby interesujące się sprawą podręczników wykładowych z dziedziny historycznej.

Uczymy dziś na gwałt i na wszystkie sposoby aby wyrównać tę masę niedoborów, które wytworzyły się w skutek zaniedbań i utrudnień przeszłych. Ale chwalebny ten impuls potrzebuje regulatora, aby być wyzyskanym należycie, bo czasem lepiej nie uczyć wcale, niż uczyć niezdarnie. Regulatorem dla każdego dostępnym są właśnie dobre podręczniki, częstokroć potrzebniejsze uczącym niż uczącym się.

Uczeń z elementarnego i średniego nawet zakresu bierze co mu dają i jak mu dają. Wykład nie jest dla niego wskaźnikiem samodzielnych studyów, lecz najczęściej bywa tak zwanem nakładaniem łopatą w głowę, ponieważ nauczyciel podaje mu nietylko fakty ale i poglądy, uczy nietylko umieć, ale i pojmować, pomaga rozumieć podręcznik i korzystać zeń odpowiednio. Że zaś nie wszyscy nauczyciele mogą stać na jednakowym poziomie umiejętności pedagogicznych ci zaś z pomiędzy nich, którzy układają dobre podręczniki, stoją ewentualnie na najwyższym, przeto rzeczą wielce ułatwiającą nauczycielskie zadanie jest możność korzystania z podręcznika nietylko dla przygotowania się pamięciowego, lecz także dla metodycznej dyrektywy.

W nauczaniu przedmiotów historycznych zaszła w ostatnich czasach zasadnicza zmiana która okazała się konieczną tak ze względów metodycznych jak praktycznych.

Dawniejsza nauka historyi polegała głównie na pamięciowem przyswajaniu mnóstwa faktów, nazw i dat; ignorantem był ten, co nieznał imienia jakiego legendarnego bohatera, albo nie umiał zacytować co do roku czasu czyjegoś panowania; mniej zato zwracano uwagi na całokształtowanie faktów w umyśle i wzajemne ich uzależnienie; byle było dużo wiadomości — mniejsza o to jak je w głowie upakowano.

Ale czas płynie — ludzkość idzie — dziejów ciągle przybywa. Są też one coraz bardziej skomplikowane i coraz wszechstronniejsze, obejmują już nie parę wielkich monarchii, lecz znaczną liczbę narodów i mnóstwo rozmaitych stosunków międzyludzkich. Przybywa też historyi i wstecz, dzięki ciągłym badaniom archeologicznym, lingwistycznym, folklorystycznym, które odkrywają całe nieznane światy bytowania społecznego, całe żywoty zgrupowań ludzkich na ziemi, całe obszary różnorodnego biegu wypadków, pojęć, działań umarłej i zapomnianej ludzkości.

Jakże to wszystko pomieścić w tem jednem małem naczyniu, które wszystkie zapasy pamięciowe zawrzeć w sobie musi — w czasce młodzieńczej?

Otóż krytyka pedagogiczna — uznająca nakoniec wyższość syntetyzowania wiedzy nad jej luźnem gromadzeniem zarówno jak i praktyczna potrzeba wyeliminowania mnóstwa szczegółów — podają dziś sobie ręce. Coraz powszechniej w użycie wchodzi prawie nieznane poprzednio wyrażenie „całokształt światopoglądu“ — i określnik ten staje się jądrem powszechnego syntetyzowania, stanowi kryteryum zapatrywań na każdą część składową dziejów ludzkości, a klasyfikacya faktów i grupowanie pojęć poczynają grać pierwszorzędną rolę.

Klasyfikacya różniczkowa i zgrupowanie syntetyczne faktów — to szkopuł nietylko dla *wszystkich* przeciętnych uczniów, ale także dla *bardzo wielu* przeciętnych nauczycieli.

Uznano już dziś wprawdzie ogólnie, że tylko rozłożenie faktów na pierwszorzędne i podrzędne, tylko wysortowanie ściśle drugorzędnych a zupełne odrzucenie trzeciorzędnych, daje możność wybrania z przeobfitego historycznego materyału treści, koniecznej do zbudowania w umyśle ucznia syntetycznej całości w danym zakresie; pomimo to w praktyce nie zawsze się tą jedynie dobrą metodę nauczania spotyka; bo ileż to trzeba umiejętnego krytycyzmu, aby np. nie odrzucać drobnych napozór, ale niezbędnych ogniw w łańcuchu przyczynowości dziejowej i nie pozostawiać natomiast mnóstwa balastu, pozornie tylko wielkiej wagi. Rzecz prosta, że w trudnościach tego rodzaju racyonalnie usystematyzowany podręcznik okaże się nieocenionym doradcą pedagoga.

Wszystkie te, przy dzisiejszej metodzie wykładania historyi niezbędne przymioty posiada omawiana książka.

Przedewszystkiem jest ona ułożona rozumowo i poglądowo. Przejawy życiowe narodu, warunki i stosunki, powody i następstwa, układy społeczne i podkłady ideowe stanowią treść istotną dziełka a występujące na tem tle opisy wypadków, zarysy faktów, charakterystyka osób malują się wypukło i plastycznie, z wyrazistą i zajmującą prostotą.

W „przedmowie“ zaznacza autorka przyjętą przez siebie metodę nauczania historyi, zwracając uwagę na związanie w konsekwentną całość przebiegu dziejów ojczystych z podawanymi przy nich treściwie wypadkami dziejów powszechnych (przyczem uwzględnione są specyalnie dzieje państw ościennych), wymienia historyków, których źródłowemi pracami posiłkowała się dla ułożenia swego podręcznika, oraz oddaje swą pracę do użytku: młodzieży kilkunastoletniej, uczniom uniwersytetów ludowych i autodydaktom, chcącym samodzielnie usystematyzować sobie luźne wiadomości z historyi Polski.

„Wiadomości wstępne“ doskonale objaśniają terminologię historyczną (naród, państwo, szczepy, plemiona i t. p.). „Geografia dawnej Polski“ jest bardzo krótka, zapewne dlatego, że stanowi dziś ona zwykle osobny przedmiot nauczania.

„Rozdział I-szy“ jest doskonałym wstępem historycznym, podmalowującym tło dziejowe, na którem występują Słowianie. Przy końcu pierwszego rozdziału i wszystkich innych znajduje się streszczenie, ułatwiające uczniowi zsyntetyzowanie w pamięci ogólnego zarysu danego okresu.

„Rozdział II-gi“ przedstawia wyrazisty obraz stosunków słowiańsko-germańskich, jakoteż religijnych obrządków Wschodniego i Zachodniego.

Następnie rozwija się historya właściwa zakonnicie przedstawiająca cały okres Polski rozwijającej się, jakoteż „Wieku Złotego“. Wszechstronność wykładu obejmuje z równą dokładnością stosunki wewnętrzne i zewnętrzne, prawno-społeczne i religijno-kościelne, rozwój duchowy i umysłowy, literaturę i sztukę, wszystko zaś paralelnie do odnośnych objawów ogólno-ludzkich w porównaniu z dziejami powszechnemi.

Epoka upadku kraju i czasy ostatnie wydają się nieco pobieżniej i krócej opracowanemi w stosunku do pierwszej połowy dziełka, naogół jednak odznaczają się temiż samemi zaletami. Tylko skutkiem większego streszczenia, nazw i dat zdaje się być trochę zawiele przynajmniej w stosunku do przyjętej metody uogólniania; ale z tem łatwo sobie poradzi ołówek nauczycielski, wyćwiczony już dostatecznie na systemie eliminowania wszelkiego balastu w poprzedzających rozdziałach.

Barwnie uprzyjemnia opowiadanie wpleciona czasami w tok jego historyczna anegdota.

Niektórzy z nowszych historyków odnoszą się ku tego rodzaju urozmaiceniami ze zbytecznem uprzedzeniem. Współczesna analiza i krytyka dziejowa tak się obawiają bajeczności, że nieraz w ofierze składają charakterystyczność. Ale anegdota nie potrzebuje być prawdziwą; przedewszystkiem musi być malowniczą, aby oddać jakimś barwnym wyrazistym rysem jaką wybitną cechę charakteru danej osoby lub epoki. A w dodatku jest to — w zastosowaniu do młodzieńczego umysłu — niby szpilka z kolorowym łebkiem, która jakiś suchy fakt lub szczegół do pamięci przypina.

Nietrafnie jednak wybraną wydaje mi się znana anegdota o rzuceniu przez Turka lontu na prochy przy oddawaniu Polakom Kamieńca. W oświetleniu jej aureola pada na skronie generała Kątskiego, który siebie i załogę uratował tak naturalnym odruchem jak schwycenie w rękę i zduszenie ognia, podczas gdy cień rzucony jest na prawdziwego bohatera— tureckiego baszę.

W zakończeniu, po doskonałym skrócie historyi Wielkiej Rewolucyi francuzkiej i wzmiance o legionach polskich w armii Napoleona, autorka oznajmia uczniom swoim, że „Wojny napoleońskie rozpoczynają *porozbiorowe dzieje narodu polskiego*, które wypełnia szereg bohaterskich walk i bolesnych zawodów i szereg lat wytężonej pracy nad u-

trzymaniem bytu narodowego wśród najgorszych, najtrudniejszych warunków". — Na tem kończy się „Historya Polski" J. Kisielewskiej, stanowiąca doskonały nabytek dla naszego ubogiego skarbczyka popularyzacyi wiedzy historycznej.

Szkoda wielka, że autorka nie poszła dalej i nie dała nam także historyi porozbiorowej, która dopełniłaby całości jej wartościowej pracy.

Dowiadujemy się właśnie, że tę epokę dziejową opracowuje obecnie w celach pedagogicznych znana literatka-nauczycielka, T. Prażmowska-Wołowska. Zakreślając program swój przyczynowościowo, autorka rozpoczyna od okresu, w którym tkwi bezpośrednie zródło późniejszej ewolucyi wypadków, to jest od pierwszych wpływów polityki Piotra W. na interesy rzeczypospolitej, kończy zaś na latach sześćdziesiątych, z okresem ostatniego powstania. Dziełko okaże się w księgarniach około Nowego Roku.

Julja Terpiłowska.

Z listów do „Bluszczu".

Paryż, w listopadzie.

W notatniku, gdzie mam zwyczaj zapisywać ważniejsze fakty i wydarzenia życia paryskiego, aby ich przy następnej korespondencyi do „Bluszczu" nie pominąć — znajduję dziś notatkę: *Polonica.* poczem idzie szereg nazwisk i tytułów książek. Jedne dotyczą rzeczy polskich, w Paryżu wydanych, a jako takie znaleźć muszą miejsce w listach paryzkich; inne odnoszą się do prac francuzkich, poświęconych naszym sprawom. Zwłaszcza w drugiej kategoryi nagromadziło się sporo tytułów, przeważnie tłomaczeń i artykułów, po różnych miesięcznikach lub *revues* rozrzuconych. Minął, coprawda, okres (jakżesz niedługi!), o którym wspominałem w jednym z dawniejszych listów, — okres wzmożonego zainteresowania się nami w prasie francuzkiej, wywołany prześladowaniami w Poznańskiem, lecz w chwili obecnej więcej bezwątpienia pisze się tu o Polsce i Polakach, niż przed kilkunastu laty, za „panowania" Feliksa Faure'a i Emila Loubet'a. Najważniejszą atoli jest zmiana w sposobie traktowania tematu; pominąwszy bowiem artykuły, którymi prasę francuzką zasilali polscy autorowie (np. w jednym z najpoważniejszych miesięczników *Mercure de France,* jedynym, gdzie można spotkać *stałą* kronikę polską, zainicyowaną przez Jana Lorentowicza, a obecnie prowadzoną przez p. Michała Mutermilcha), pominąwszy te prace, w innych, niestety, nie można było odnaleźć nie tylko lepszej znajomości rzeczy polskich, lecz częstokroć nawet elementarnego oryentowania się w naszych sprawach.

Tego rodzaju ignorancya wyzierała nietylko z artykułów, pisanych na miejscu w Paryżu, na zasadzie któregokolwiek przestarzałego podręcznika historyi, lecz i z książek pisarzów, którzy kraj nasz mieli sposobność poznać osobiście.

W rozmaitych „notatkach turysty", „dziennikach podróży" i wszelkich innych opisach Rosyi, dokąd autorowie na czas pewien się wybierali, niemal zawsze znaleźć można jeden lub dwa rozdziały, poświęcone Warszawie. Próżno jednak byśmy szukali na tych kilkunastu kartkach śladu bliskiego zainteresowania się autora przeszłością i współczesnym stanem naszej stolicy lub całego kraju; natomiast wiadomości podane dziwnie przypominać muszą informacye „Baedeckera", dla nadania zaś opisowi „lokalnego" kolorytu autor w odpowiednich miejscach zaznacza, że, aby tam i tam się udać, zawołał „un isvostchik", lub też widział to i to przy ulicy, której nazwę obdarza końcówką „aja". Czego bo i też turyści francuzcy nie dopatrzyli się w naszej Warszawie! Wszak niedawno jeden z nich opisywał w *Matin'ie* most na Wiśle, przeładowany „tielegami", jako symbol granicy dwóch kultur, wschodniej i zachodniej.

Takich „osobliwości" dwie książki, które mam przed sobą, nie posiadają. Owszem, zarówno rozdziały, poświęcone stosunkom w Poznańskiem w książce p. Juliusza Huret'a: „En Allemagne. De Hambourg aux marches de Pologne", jak i wrażenia z pobytu w Galicyi, spisane przez pana Jerzego Servières („A travers l'Autriche-Hongrie. Cités et sites") — świadczą wymownie, że zmiana na lepsze, o której wyżej wspomniałem, nastąpiła istotnie. Dwaj pisarze francuzcy zwiedzali dwie polskie dzielnice, każdego zaś z nich co innego interesowało.

Wybitny publicysta J. Huret starał się przedewszystkiem wniknąć w stosunki polityczno-społeczne Poznańskiego, zblizka zapoznać się z polityką wynaradawiania, zbadać wreszcie opinię dwóch przeciwnych obozów: polskiego i prusackiego; stąd też i książka jego ma charakter więcej publicystyczny, zabarwienie niejako aktualne. Na odwrót, Jerzy Servières zwraca całą niemal uwagę na zabytki artystyczne i historyczne, co krok potrąca o przeszłość kraju i przeszłości tej w swych opisach znaczne wymierza miejsce. Huret'owi za główną zasługę poczytywać musimy bezstronność, jaką wykazuje przytaczając rozmowy swe z przedstawicielami polskiego społeczeństwa i z pruskimi biurokratami, od których, rzecz prosta, musiał wysłuchać wręcz przeciwnych opinii. Bezstronność tę porusza tak daleko, iż nie może niekiedy obronić się sceptycznym refleksyom, gdy ma do zanotowania buńczuczne nazbyt wynurzenia poznańskich urzędników. Natomiast nie tai swych sympatyi, gdy przeprowadza porównanie obu społeczeństw pod względem wrodzonych umiejętności towarzyskiego obcowania. Wreszcie i to przyznać francuzkiemu autorowi musimy, iż posiada wybitną zdolność oryentowania się w tak zawiłej sytuacyi, jaką jest tragedya, rozgrywająca się w Poznańskiem. Wniosków własnych nie usiłuje wyprowadzać, ale umie obserwować i wypytywać, rezultat zaś tych badań notuje zawsze z zaznaczoną już bezstronnością.

P. Jerzy Servières w dwóch rozdziałach, poświęconych opisom Galicyi, wykazuje znaczną, jak na Francuza, znajomość naszej historyi, chętnie też mu wybaczyć możemy parę błędów, których w toku opowiadania nie ustrzegł się (np. Grand-duché *de Pologne,* utworzone przez Napoleona, ze Lwowem, jako stolicą; rok śmierci Kazimierza W. podany jako rok urodzin; Lwów, według autora, jest nazwą „słowiańską", po polsku zaś nadpełtwiański gród zwać się ma *Leopol...* i t. d.). Po zatem jednak prawie wszystkie spostrzeżenia p. Servières są trafne, (o Matejce i Siemiradzkim np.), a już dumą napełnić nas musi przekonanie, z którem autor się oświadcza, o wyższości pod względem artystycznym Krakowa nad Pesztem, do którego zwykli docierać ziomkowie p. Servières, gdy zamierzają poznać wschodnią część Austro-Węgier. Zdaniem francuzkiego pisarza podwawelski gród stokroć bardziej godny jest widzenia—i choć wszyscy się z tem zgodzić musimy, taka bezstronna szczerość ze strony cudzoziemca powinna nam być miłą.

Echem również pobytu na naszej ziemi jest ustęp poematu p. t. „Solitude au loin", zamieszczonego przez p. Fr. Porché w jednym z ostatnich zeszytów „Mercure de France". Poniżej przytaczam końcową strofę tej części, którą poeta przytacza Warszawie:

Varsovie, en des jours oú, loin de mon pays,
Seul, prêt à défaillir au milieu de ma route,
Je ne voyais autour de moi qu'espoirs trahis,
Et, là-bas, oú j'allais, qu'inquiétude et doute,
J'ai respiré dans l'air brûlant, sous ton ciel lourd,
Cette foi, cette ardeur que nul revers ne dompte,
Et ce calme oú, sans cesse, on entend le bruit sourd
D'un orage nouveau qui monte.

Sztuka polska, reprezentowana w ciągu ubiegłego lata w Wiedniu przez najwybitniejszych artystów krakowskich, znalazła w miesięczniku "l'Art et les Artistes" sumiennego, niekiedy nawet entuzyastycznego sprawozdawcę w osobie znanego estetyka Williama Rittera, który w № 40 wzmiankowanego pisma zamieścił artykuł p. t. „l'Art polonais à Vienne". Do artykułu dołączone są reprodukcye obrazów Józefa Chełmońskiego, Stanisława Kamockiego, Kazimierza Sichulskiego, Fryderyka Pauttscha, Józefa Mehoffera, Teodora Axentowicza, Olgi Boznańskiej i Juliana Fałata, oraz reprodukcye rzeźby Edwarda Wittiga. O ruchu artystycznym polskim czytelników "l'Art et les Artistes" informuje stale od pewnego czasu p. Adam Cybulski.

Plon tłomaczeń z polskiego na francuzki wzbogacił się w tych czasach paru nowymi tytułami: Znakomita praca Erazma Majewskiego ukazała się nakładem Feliksa Alcan'a, p. t. „La science de la Civilisation"; u Plon'a nieco dawniej wyszedł francuzki przekład „Pamiętników" generała Dezyderego Chłapowskiego, bardzo życzliwie przez krytykę przyjętych; wreszcie w ostatnim numerze zawsze interesującej „Revue bleue" pani Marya Gorecka rozpoczęła druk tłomaczenia pełnej dramatycznych momentów opowieści Orzeszkowej „L'Officier". Do szeregu tych tłomaczeń wkrótce przybędzie jeszcze jedno: p. Stanisław Rzewuski przygotowuje francuzkie wydanie niektórych sztuk Bałuckiego... Szkoda wielka, że p. Rzewuski w chwalebnym zamiarze zaznajomienia Francuzów z polską twórczością dramatyczną sięgnął do autora „Grubych ryb" i „Domu otwartego"; czytelnicy francuzcy nie wiele zapewne będą mogli skorzystać, o ile, zresztą, do książki będą mieli cierpliwość zajrzeć.

Wybór wszakże p. St. Rzewuskiego nie powinien nas dziwić; zerwawszy stosunki z krajem, widocznie nie ma już pojęcia o tem, co po Bałuckim na polu twórczości dramatycznej u nas przybyło.

Natomiast na łamach dziennika *Comoedia* często p. St. Rzewuski informuje publiczność paryzką o ruchu teatralnym w Niemczech, Austryi i Rosyi, a i w tej ostatniej, w innej coprawda dziedzinie, za szczyt doskonałości uważa „Nowoje Wremia", wypisując mu, jako najlepiej prowadzonemu dziennikowi, i jego filarowi, p. Mieńszikowowi, panegiryk z okazyi jubileuszu Tołstoja. (Ciekawych poznania się z ciekawym tym artykułem p. Stanisława Rzewuskiego odsyłam do № z dnia 1 października „Mercure de France").

Ażeby zakończyć sprawozdanie z nowości polskich w literaturze francuskiej wspomnieć jeszcze muszę o broszurce, której autorem jest d-r Ernest Friedrichs, napisanej po niemiecku, a obecnie wydanej w przekładzie francuzkim, p. t. „La Franc Maçonnerie en Russie et en Pologne". Na kilkunastu stronicach autor podaje treściwą historyę powstania i rozwoju wolnomularstwa w Polsce, wiele jednak ważnych szczegółów nie jest mu znanych, jak nieznanem mu jest, zdaje się, również dzieło ks. Załęskiego.

Z książek polskich, które, jako wydane w Paryżu, muszą, jak na wstępie zaznaczyłem, odbić się echem w kronice paryskiej, przedewszystkiem wymienić należy pracę p. Woźnickiego.

Nie poprzestając na działalności publicystycznej, na zasilaniu wielu naszych czasopism korespondencyami i dłuższemi studyami o literaturze francuzkiej, stojąc nadto wytrwale na odpowiedzialnem stanowisku kierownika tutejszego polskiego biura prasowego i w ten sposób informując opinję miejscową o sprawach polskich — p. Kazimierz Woźnicki pozwala sobie sięgnąć po jeden jeszcze tytuł: wybitnego stendhalisty. Zawartą w tem określeniu pochwałę zrozumie łatwo każdy, kto wie, jaką elitę umysłową stanowi we Francyi grono literatów, oddających się kultowi autora „Le Rouge et le Noir". Zaciągnąwszy się w szeregi duchowego bractwa, które patronem swym Henryka Beyle obrało i nie ustaje w pracy, aby jego twórczość i życie zbadać (a teraz gotuje się do wystawienia swemu mistrzowi pomnika), p. Woźnicki powziął godną przyklaśnięcia myśl napisania po polsku monografii o Stendhalu. Gorąco pragnąć musimy, aby zamiar swój uskutecznił i w ten sposób przyczynił się do lepszego przedstawienia naszej publiczności autora „Chartreuse de Parme", niż to było czynione dotychczas. Jakiem zaś będzie zamierzone dzieło, dziś już sądzić możemy na podstawie jednego rozdziału, który p. Woźnicki w oddzielnej broszurze a pod tytułem „Stendhal i jego książka o miłości" w świat wypuścił. Szczere umiłowanie i gruntowną znajomość przedmiotu oraz styl wytworny, cechujące broszurę, odnajdziemy, oczywista, w przyszłej pracy, którą aby autor przybrał, ku uciesze bibliofilów, w równie artystyczną szatę zewnętrzną, (bo zapomniałem dodać, iż p. Woźnicki i w tym zaniedbanym u nas kierunku jest gorącym miłośnikiem i swą broszurę, wytłoczoną w ilości 138 egzemplarzy, wydał w sposób u nas zgoła niemal niepraktykowany).

Gdym wspomniał o tutejszem polskiem biurze prasowem („l'Agence Polonaise de Presse"), nie mogę pominąć milczeniem i wydawniczej jego działalności. Po wydanej w r. ub. broszurze p. t. „L'Ecole prussienne en Pologne" ogłosiło biuro w tych czasach nową pracę: „170 Procés de Presse" (Documents pour servir à l'histoire des persécutions de la presse polonaise par le gouvernement prussien aucours des trois dernières années). Jest to schematyczne zestawienie procesów i kar, nałożonych na czasopisma w Poznańskiem, — zestawienie, które pozostanie jako dokument wolności słowa w państwie bojaźni bożej na początku XX stulecia.

Od literatury do... maszyn do prania przeskok byłby, przyznacie, zbyt duży. A jednak musiałbym go uczynić, bo taki już los korespondenta, że zmuszony jest w swych listach poruszać najsprzeczniejsze tematy, jedne po drugich, gwoli nieuchybienia aktualności sprawozdawczej — gdyby do opisu wystawy „przemysłu pralnianego" jako stosowniejsze przejście nie posłużyło mi parę innych wystaw. Przedewszystkiem więc słów kilka o „Salon du Mobilier", t. j. o wystawie umeblowania. Po za działem współczesnym, przedstawiającym wytwórczość dzisiejszych fabrykantów, organizatorzy „Salonu" postarali się o urządzenie działu retrospektywnego. Posłużył on do ciekawego zestawienia, wymownie świadczącego o upadku w tym kierunku zarówno wytwornego gustu jak i artystycznych aspiracyi. Meble wykonane przez dawniejszych rzemieślników-artystów są istotnie dziełami sztuki wobec dzisiejszej tandety, usiłującej, niezawsze z dobrym skutkiem kopiować wzory Boule'a i innych mistrzów snycerzów.

Przejdźmy teraz kilkanaście kroków w tymże *Grand Palais*, gdzie mieści się wystawa umeblowania, a znajdziemy się w „Salon d'Automne". Jedna to z najciekawszych wielkich wystaw sztuki, jakie w Paryżu rok rocznie oglądać można. Wolna od przymusu i schematyzmu, panującego w dwóch „Salonach", które na wiosnę otwierają swe podwoje (*Société Nationale* i *Société des Artistes Français*), nie tak może również jednostronna, jak „Salon Niezależnych", posiada wystawa „Jesienna" dużo uroku przez współudział wielu indywidualnych i nieskrępowanych talentów. Obok obrazu, oglądanego poprzednio u „Niezależnych" i mimowolny uśmiech wywołującego, widzimy próbę ciekawych usiłowań, przebłyski szczerej twórczości, borykającej się z zaszczepioną w szkole rutyną lub manierą, dalej wreszcie dzieło skończone pod każdym względem. Niemałą także atrakcyą „Salonu jesiennego" stanowią urządzane przy nim wystawy specyalne i retrospektywne. W roku bieżącym parę sal zajęła Finlandya (na ogół rzeczy mało mówiące) i urządzono również szereg wystaw, poświęconych artystom nieżyjącym.

Przypomniano więc tak mało znanego a pełnego charakteru Theotokopulosa, zwanego w historyi sztuki *Il Greco*; zapoznano publiczność z rysownikiem i rytownikiem Chifflartem i akwaforcistą Rudolfem Bresdin'em, przedewszystkiem zaś olśniono bajeczną kolorystyką Monticellego. Bo kolorystą nieporównanym był ten prowansalski artysta, którego prace zarówno ujmują dziwnym wdziękiem, porywają niekiedy siłą wyrazu i każą wspominać bogactwo drogich kamieni i barwność dawnej tkaniny.

Nie będę próbował wyliczać wszystkich celujących płócien, które „Salon" obejmuje; poprzestać również muszę na wymienieniu tylko nazwisk polskich, daleko liczniej w roku bieżącym, niż w ubiegłym, reprezentowanych. Spotykamy więc prace pp.: Heleny Blanksteinówny, Janiny Bobińskiej-Brzezińskiej, Bolesława Buyki, Heleny Ciechanowskiej, Ludwika Cylkowa, Leopolda Gottlieba, Władysława Granzowa, Reny Hassenberżanki, Mieczysława Jakimowicza, Jana Janusza, Leona Kaufmana, Stanisława Landaua, Anastazego Lepli, Dory Mikułowskiej, Stanisława Ostrowskiego, L. Ostrowskiej, Czesława Pełczyńskiego, Jana Szczepkowskiego, Edwarda Wittiga i Eugeniusza Żaka.

W blizkiem sąsiedztwie *Grand Palais des Champs Elysées*, a więc „Salonu jesiennego", przy alei Cours-la-Reine, rozłożyła się inna wystawa: tanich mieszkań. Żałuję, że wspominając o niej nie mogę dla braku miejsca tym razem choć pobieżnie zapoznać Szanownych Czytelniczek „Bluszczu" z rozwojem we Francyi tej doniosłej sprawy, jaką jest umożliwienie szerokim masom posiadania własnego domu, którego jest się panem niepodzielnym. Na wystawie w mowie będącej, pozwolono nam oglądać szereg modeli (w naturalnej wielkości), domków paro-i kilko-pokojowych, takich właśnie, jakie istnieją w tym celu towarzystwa budują dla swych członków na warunkach niezwykle przystępnych. O działalności tych towarzystw nabiera się najlepszego pojęcia, gdy się wyjedzie koleją lub tramwajem po za Paryż: cała podmiejska okolica zabudowana jest przez nie różnego typu willami i domkami, co umożliwia korzystanie z lepszych warunków hygienicznych nawet osobom zupełnie niezamożnym.

A teraz powróćmy do tematu, o którym poprzednio napomknąłem. Przeskok tym razem nie będzie tak rażący, choćby ze względu, że wspomniana wystawa przyrządów, służących do prania, prasowania i t. d. na tem samem terytoryum się mieściła, co i wzmiankowana powyżej.

Gdym przed laty kilku oglądał na wystawie hygieny domowej w Warszawie dwa skromne modele pralni parowych, nie przypuszczałem, aby w tym kierunku istniały przyrządy tak skomplikowane i udoskonalone, jak te, które obecnie podziwiać mogłem. Pralnie paryskie, coprawda, cieszą się uznanym rozgłosem (wszak i u nas w kraju opowiadano nieraz o niejednej wykwintnisi i niejednym snobie, posyłających bieliznę do prania nad Sekwanę); zamieszkawszy jednak w Paryżu zwątpiłem w słuszność takiego mniemania' gdyż, trzeba przyznać, na ogół pranie jest tu haniebne, stokroć gorsze niż w Warszawie. Są wyjątki (jak np. sławna pralnia Charvet'a), przeważnie atoli paryżanie kontentować się muszą praniem, którem się trudni uboższa ludność podmiejska. Bielizna co 10 dni zabierana jest na wieś i tam prana w bardzo prymitywny sposób, bo szczotkami; każda z takich drobnych pralni obsługuje stale w Paryżu kilka lub kilkanaście domów. Prócz tego w samem mieście istnieje ogromna ilość pralni na wzór warszawskich, które przyjmują do prania przeważnie tylko bluzki damskie, mankiety i kołnierze. To też wszelkie wynalazki i udoskonalenia w tej dziedzinie nie we Francyi, lecz w Ameryce powstają, czemu sprzyja rosnący wciąż w Nowym świecie brak służby. Wystawa paryzka przemysłu, dotyczącego prania (międzynarodowa, naturalnie! i druga już z kolei) na pierwszy rzut oka mogła robić wrażenie pokazu maszyn: działające przed oczyma publiczności olbrzymie magle, automatyczne przyrządy do prasowania, rozmiarów używanych u nas magli, najrozmaitszego systemu pralnie parowe, suszarnie i t. d. — wszystko to jakże dalekiem jest od naszych balii i miniaturowych wyżymaczek...

M. J. L.

Z literatury.

Kazimierz Króliński. „I mówi do mnie wieś". Poezye.

Dwa są rodzaje poezyi — jeden górny, nastrojony na ton wysoki, potrącający o najzawilsze zagadnienia życia i duszy ludzkiej — drugi: skromniejszy, polegający na kombinacyi i skrzyżowaniu się różnorodnych uczuć, płynących falisto i szczerze prosto z pod serca.

Poezye Królińskiego można zaliczyć do tego drugiego rodzaju. Dużo jest w nich szczerych i miłych akcentów, dużo ciepła i serdecznego, jasnego nastroju. Autor kocha i odczuwa wieś, miłuje przyrodę, to też jego pejzażowe obrazki i przyśpiewki, falujące zapachem pól i łąk skoszonych, posiadają urok prawdziwy.

Na razie trudno mi określić fizyognomię duchową młodego autora, w utworach jego bowiem błąkają się tu i owdzie lekkie reminiscencye i wpływy Konopnickiej i Lorentowicza.

Jego indywidualnością jest tylko duży zapas szczerego uczucia i umiłowanie przyrody.

Nie jest to jeszcze kwintesencyą sztuki, ale jest jej niezbędnym warunkiem.

Zygmunt Stankiewicz. „Pieśni miłosne". — Nakład Bilińskiego i Maślankiewicza.

Wiersze względnie poprawne, nie rażą nas bowiem ani chropowatością formy, ani niemuzykalnością rytmiki, rymy wprawdzie nie

wytworne i nie znamionujące wyższego poczucia artystycznego, ale też nie potrącające o „częstochowszczyznę“.

Co się zaś tycze wewnętrznej strony tych utworów, to treść ich zupełnie nie odpowiada tytułowi zbiorku.

Od „pieśni miłosnych“ moglibyśmy się śmiało spodziewać tężyzny, siły, młodzieńczych wybuchów, jakiegoś ognistego uczucia, które ducha uskrzydla i ku gwiazdom niesie. Zamiast tych wszystkich pierwiastków, które, że się tak wyrażę, tworzą miłość, możemy w tomiku młodego autora znaleźć tylko szarą, bezbarwną oponę mgieł, która jest raczej symbolem apatyi i zniechęcenia.

Koźluk. Poezye.

Autor we wstępie, pisanym prostemi, niewymuszonemi słowami, zaznacza, że jest samoukiem, chłopskiem dzieckiem; prosi, aby go nie sądzono zbyt surowo, ponieważ pieśni jego są wyjęte prosto z pod serca, są wynikiem konieczności i bynajmniej sobie nie roszczą pretensyi do miana dzieł sztuki.

Ta sama szczerość, bezpretensyonalność i naiwna prymitywność przebija w jego utworach.

Niema w nich zepsucia ani chorobliwych rzutów, ze wszystkich kart wyziera zdrowie, pogoda, umiłowanie rodzinnych stron, ze wszystkich kart wieje łagodny zapach wsi.

Jeżeli zaś chodzi o ton, o gatunek poezyi, — to jest on jeszcze bardzo ubogi i nikły, jakkolwiek tu i owdzie daje się odczuć pewien przebłysk talentu.

Nie wątpię ani na chwilę, że p. Koźluk, rozszerzywszy nieco skalę swojej umysłowej kultury, da nam w przyszłości rzeczy więcej pogłębione, o oryginalniejszej formie i ciekawszej koncepcyi.

Zygmunt Różycki.

Władysław Ślewiński.

Warszawska Szkoła Sztuk Pięknych w bieżącym roku szkolnym pozyskała wybitną siłę profesorską; do grona bowiem cenionych artystów-kierowników pożytecznej tej uczelni przybyła jednostka miary niepowszedniej w osobie p. Władysława Ślewińskiego.

Artysta ten, o rozgłośnem imieniu za granicą, jeden z założycieli „Salon des Indépendants“ w Paryżu, wysoko ceniony w malarskiej kolonii tamtejszej, do niedawna mało był znany w swym rodzinnym kraju; rzadko bowiem bardzo przysyłał swe prace na nasze wystawy. Przed czterema laty dopiero urządził po raz pierwszy w Warszawie własną wystawę w Salonie Krywulta, co dało nam możność poznajomienia się bliżej z niezwykle interesującą indywidualnością artystyczną, która rozwijała się i kształtowała zdala od swej ojczyzny.

Ślewiński, syn zamożnej rodziny ziemiańskiej, w latach młodzieńczych objawiał wielkie zamiłowanie do malarstwa i nawet zapisał się był do szkoły Gersona, spotkał się jednak z oporem ze strony najbliższego otoczenia, i chwilowo musiał powstrzymać swe artystyczne aspiracye.

Mając lat już przeszło trzydzieści, udał się do Paryża, gdzie zamieszkał wraz z artystą-malarzem p. Zygmuntem Andrychewiczem, i jego uważa Ślewiński za pierwszego swego a uczyciela, który formował mu rękę, a następnie wprowadził go do Collarossiego. Tu przebywał Ślewiński 2 i pół lat na wolnych studyaah, jako artiste-libre.

Wyszedłszy od Collarossiego, spotkał się z Goguenem, którego niepowszednia indywidualność wielki wpływ wywarła na młodego artystę; stał się on jego uczniem, a następnie przyjacielem i wielbicielem gorącym, stosunek ten przetrwał lat 12, aż do śmierci Goguena.

Ślewiński pierwszą swą wystawę urządził w roku 1895 w Salon des Indépendants, a następnie dwie własne prywatne u Georges'a Thomas'a w r. 1896. Wystawy te zwróciły uwagę miłośników sztuki na bardzo wybitną indywidualność naszego artysty. Wpływ przyjaciela jego Goguen'a zaznaczył się do pewnego stopnia w dziełach Ślewińskiego; stara się on zawsze o bezpośrednią styczność z naturą, unikając o ile możności przecywilizowanych ognisk kultury; zamieszkał on na czas dłuższy w Bretanii, gdzie z zapałem studyował pejzaż morski i okoliczne typy. Sam starał się prowadzić tryb życia jaknajprostszy, a zasady swe stosował w owym czasie nawet do swego ubioru; kółko artystów z przed lat dziesięciu, które zbierało się w Paryżu w kawiarence Charlotty na rue de la grande Chaumière naprzeciw akademii Collarossiego, pamięta dobrze oryginalną sylwetkę Ślewińskiego w sabotach i płóciennej bluzie, rozprawiającego z zapałem z Miriamem, o zawiłych zagadnieniach kultury artystycznej. Kawiarenka ta miała swój specyalny artystyczny charakter, tu przesiadywał zwykle Strindberg z kółkiem swych wyznawców; szyld do niej malował słynny Mucha. Z artystów polaków, prócz wyżej wymienionych, bywali tu różnemi czasy stałymi gośćmi: Podkowiński, Chełmoński, Siedlecki i wielu innych, to też Ślewiński nie pomijał jej nigdy za swą bytnością w Paryżu a niezwykle zajmujące sądy jego o sztuce pozostały na długo w pamięci zbierających się tam artystów, na których Ślewiński bogatym swym umysłem silny wpływ wywierał.

Prócz kolonii artystycznej polskiej, z którą spotykał się często Ślewiński, przez czas 13-to letniej blizko swej bytności we Francyi, przebywał on stale w kole swych kolegów i najbliższych przyjaciół, do których należeli Renoir, Van Gagh, Maurice Denis, O'Connor i wielu innych.

Pomimo wyznawanej prostoty w obrazach Ślewińskiego jest bardzo wiele kultury zarówno w sposobie patrzenia na nature, jak i w rodzaju ujęcia danego tematu w artystyczną formę. Literatury tylko nigdy nie spotykamy w obrazach Ślewińskiego; patrzy on na świat po malarsku, to jest interesuje go przedewszystkiem kształt i barwa, i to wrażenie przenosi na płótno, nie troszcząc się o ideową stronę obrazu.

Maluje on ze specyalnem zamiłowaniem pejzaż i martwą naturę; jego krajobrazy morskie odznaczają się bardzo głębokim, świetnie zharmonizowanym kolorytem; jest też niezrównany w swych „natures mortes“. Jakiś garnczek, kawałek draperyi, kilka jabłek, lub cebuli, parę kwiatków, wszystko to służy Ślewińskiemu za materyał do stworzenia wysoce artystycznego dzieła; ciekawie zestawione, umiejętnie zharmonizowane, jakby stłumione a silne w kolorze, najpospolitsze przedmioty przeradzają się pod pendzlem Ślewińskiego w prawdziwe dzieła sztuki. Motywy figuralne mniej go pociągają; dał on jednak kilka bardzo zajmujących autoportretów, oraz szereg typów bretońskich a ostatnio i podhalańskich. Ślewiński bowiem po kilkunastoletnim pobycie we Francyi, od lat kilku powrócił do kraju, po krótkiej bytności w Warszawie w czasie owej wystawy w Salonie Krywulta, wyjechał do Galicyi, mieszkał w Krakowie i Zakopanem, a rezultatami jego pracy była wystawa w r. 1907 w Krakowie i w roku bieżącym w Zachęcie. Od założenia „Sztuki“ Ślewiński jest członkiem tego stowarzyszenia, wystawiał jednak po raz pierwszy w tej grupie w roku 1904 w Wiedniu w Secesyi, a następnie we Lwowie i w Krakowie. Jest on też stałym członkiem Secesyi Wiedeńskiej, a parokrotnie urządzana w niej specyalna wystawa naszego artysty, spotkała się z jaknajpochlebniejszą oceną znawców sztuki.

Powinszować zatem tylko należy Warszawskiej szkole Sztuk Pięknych, iż zdołała pozyskać na profesora tak wybitnego artystę, który jaknajdodatniejszy wpływ wywrzeć może na młode umysły wychowańców tej uczelni.

Z. Skorobohata-Stankiewiczówna.

Z sali odczytów.

W ubiegłą niedzielę odbyły się w Towarzystwie Zachęty ostatnie odczyty z zajmującego cyklu: „Sztuka w życiu dziecka“.

Odczytów tych właściwie dnia tego było aż cztery, zamiast zwykłych dwóch; prócz zapowiedzianych bowiem konferencyi pp. Feliksa Słupskiego i Feliksa Rolińskiego, przemówienia ks. Kirchnera oraz p. Lasockiego rozmiarami swymi przewyższały nawet zwykły czas odczytowy; w sumie, konferencye zajęły przeszło dwie godziny, co spowodowało pewne znużenie wśród zainteresowanych daną kwestyą słuchaczy.

Szereg przemówień zaczął p. F. Słupski, obierając za temat odczytu swego „kształcenie oka“. Prelegent zwracał uwagę na ogólny brak umiejętności patrzenia na naturę, zaznaczając wielką różnicę patrzenia artystycznego, malarskiego, które ujmuje całokształt danego zjawiska, od powierzchownego patrzenia przeciętnego widza, nie zwracającego należytej uwagi na różnice barwy i materyału danego przedmiotu.

Nietylko na naturę jednak nie umie patrzyć ogromna większość ludzi; tę samą nieumiejętność przenosi ona i na dzieła sztuki; nie umie ona wyczuć w nich wrażenia, którem przejęty był artysta w chwili tworzenia swego dzieła. Publiczność przeważnie chce widzieć w sztuce rozrywkę, a nie źródło czystej, głębokiej rozkoszy estetycznej.

Interesujący ten odczyt p. Słupskiego bardzo luźno zaledwie był powiązany z przewodnią ideą tej seryi konferencyi, mających specyalnie na względzie sztukę w życiu dziecka.

Po p. Słupskim zabrał głos ks. Kirchner, który mówił o nauce rysunków w szkołach, rozumiejąc pod tą nauką całokształt estetycznego wychowania dziecka. Domaga się on, aby rysunki nie były wykładane w sposób niewolniczy, aby nauczyciel nie narzucał gotowych form, nie dawał niejako swych oczu dziecku, ale rozwijał w nim samodzielność. Uczeń nie może naśladować bezmyślnie, powinien on wyszukiwać i brać w siebie piękno; musi też umieć przetwarzać materyał zdobyty, aby posiadać następnie własny sposób widzenia rzeczy. Pełne zapału przemówienie to zakończył ks. Kirchner uwagami o potrzebie wprowadzania estetyki w najbliższe otoczenie młodzieży, w ich ubranie oraz w umeblowanie mieszkań.

Następnie p. Roliński mówił o „Rozbudzeniu poczucia piękna w dziecku“. Zaznaczył on pewien zwrot ku lepszemu w wychowaniu dzieci, podniósł znaczenie przeszłorocznego zjazdu nauczycieli rysunków oraz pracy związanej wówczas sekcyi pedagogicznej ry-

sunkowej przy Warszawskiem Towarzystwie Artystycznem. Wspomniał też prelegent o urządzanej w Zachęcie wystawie szkolnej i o samodzielnych rysunkach dzieci na obecnej wystawie.

Następnie dał króciutki rzut oka na naukę rysunków w szkołach czeskich i bawarskich, oraz poświęcił słów kilka szkole zabawkarskiej w Nałęczowie.

Na zakończenie p. Lasocki w mało opracowanem i z tego powodu niezbyt treściwem przemówieniu dowodził o potrzebie dokładniejszej obserwacyi natury i rozwinięcia umiejętności jej widzenia.

Wyżej wspomniane odczyty zamknęły ten pierwszy cykl pogadanek z zakresu sztuki wobec zainteresowania powszechnego, jakie wzbudziły, należy mieć nadzieję, iż Komitet Zachęty nie omieszka urządzić nowej seryi tego rodzaju konferencyi, które mogą mieć poważny wpływ na podniesienie poziomu pojęć estetycznych naszej publiczności.

(sk. st.).

Zamierzony cykl wykładów.

Przy coraz pomyślniej rozwijającej się szkole rzemiosł i przemysłu artystycznego dla kobiet (Swiętokrzyska 27), w końcu bieżącego miesiąca rozpoczyna się szereg wykładów, niezwykle interesujących zarówno ze względu na poruszane w nich tematy, jak też i wybór prelegentów.

Będą wykłady z dziedziny etyki i sztuki, a mianowicie: prof. Maryan Massonius będzie miał cykl 36 wykładów w trzech seryach po dwanaście wykładów, obejmujących „Historyę etyki“.

Prof. Antoni Jabłoński wykładać będzie estetykę; kurs obejmie również 36 wykładów w trzech seryach.

Prof. Karol Hr. Roztworowski oznajmi słuchaczów z historyą muzyki w cyklu 24 wykładów, a artysta-malarz p. Zygmunt Badowski w 12-tu wykładach da historyczny zarys malarstwa.

Sądzić należy, iż wykłady te zainteresują szersze koła inteligencyi, byłoby tylko pożądanem, aby ceny wstępu były trochę przystępniejsze; naznaczone bowiem 50 kop. za jeden odczyt jest cokolwiek za drogo, jeżeli idzie o popularyzacyę danych wykładów.

(sk. st.).

Z Towarzystwa badań nad dziećmi.

Program ostatniego zebrania obejmował dwa referaty: J. Wł. Dawida: „O postępach psychologii doświadczalnej w zastosowaniu do pedagogii“ i pani J. Kenig o najnowszej książce prof. Heinricha p. t.: „Psychologja uczuć“.

Pierwszy mówca zaczął od wykazania jakie wyniki pozytywne daje nam metoda doświadczalna zastosowana w psychologii i pedagogii, przedewszystkiem wywiera ona doniosły wpływ na wychowawców, pobudza ich do stosowania nowych metod oddziaływania pedagogicznego i przyczynia się do wyzbycia się rutyny i dogmatyzmu teoretycznego. To doniosłe znaczenie psychologii doświadczalnej ogólnie jest uznane, a dążność do szerzenia tego odłamu wiedzy objawia się nietylko w Europie ale i Ameryce. Stany Zjednoczone posiadają bardzo bogato zaopatrzone i przy doborze pierwszorzędnych sił naukowych prowadzone laboratorya; z państw europejskich najwyżej w tym względzie stoi Belgia, posiadająca dwie pracownie, z których jedna, mieszcząca się przy seminaryum nauczycielskiem w Brukselii, pozostaje pod kierownictwem rodaczki naszej p. Joteyko. Dłuższą wzmiankę poświęcił prelegent postępowi, jaki w tej mierze uwidocznił się w Rosyi, i wspomniał o instytucyach, które te zadania szeroko w swym programie traktują, są to: akademia pedagogiczna, pozostająca pod patronatem Ligi Oświaty, i instytut neuro-psychologiczny, świeżo otwarty w Petersburgu. W końcu wyraził mówca życzenie, żeby i w naszych instytucyach, kształcenie sił nauczycielskich na celu mających, ten dział wiedzy dobrze był prowadzony, byłoby bowiem ze wszechmiar niepożądane, gdybyśmy w tej mierze sąsiadom naszym wyprzedzić się dali.

Po odczycie wywiązała się krótka dyskusya w której przypomniano kwestyę projektowanego laboratoryum psychologicznego w Warszawie, poczem p. Kenig odczytała swój referat o książce prof. Heinrich'a. Praca ta była bardzo jasnem i zwięzłem streszczeniem poglądów krakowskiego profesora na analizę uczuć. Autor zalicza nastrój wraz z wrażeniem i wyobrażeniem do składowych elementów uczucia. Referat ten pobudził jednego ze słuchaczów, p. Segała, do uwag krytycznych, w których zarzucał autorowi książki niedość ścisłą terminologię psychologiczną.

W końcu zebrania poruszano sprawy bieżące, mówiono o ćwiczeniach antropometrycznych pod kierunkiem pana Stołyhwy dla członków Towarzystwa prowadzonych i zawiadomiono, że w łonie Towarzystwa zawiązała się komisya oddająca się badaniom mowy dziecka.

z. b.

Słówko o haftach, tkaninach i wyrobach rąk kobiecych w krajach słowiańskich.

Zatrzymawszy się na dni kilka w Serajewie, nie mogłam z powodu szkaradnej pogody zwiedzić malowniczych okolic miasta, ale zostało mi trochę czasu na zapoznanie się z wyrobami miejscowymi. Obejrzawszy pracownię haftów misternych złotem, srebrem i jedwabiami, na gazie, płótnie, muślinach i t. p., zwiedziłam fabrykę dywanów i kilimów, której technika znaną mi już była z naszej krajowej pracowni p. Antoniny Sikorskiej w Ciechanowie.

W Serajewie tak samo przy warsztatach siedzą dziewczęta, przesuwając zręcznie palcami różnobarwne, pokrajane już pęczki wełny przez osnowę.

Oprócz kilimów wychodzą z serajewskich fabryk piękne dywany t. zw. perskie i smyrneńskie strzyżone; wzory jednak i barwy różnią się znacznie od starych kobierców, których poszukują znawcy, a które ja, przeczucem jakiemś estetycznem wiedziona, polubiłam oddawna, zanim jeszcze wiedziałam cokolwiek o ich fabrykacyi.

Widząc zainteresowanie się moje tkaninami i haftem ludu tutejszego, zaproponowali mi uprzejmie znajomi serajewscy odwiedzenia znanej tutejszej poetki pani Jelicy Belović (obecnie Bernadzikowskiej po mężu), przyjaciółki Polaków a wielkiej lubowniczki haftów ludowych i tkanin, których posiada piękny zbiór od najdawniejszych czasów. Zbiór ten ma już swoją sławę; oglądały go rozmaite znakomitości i głowy koronowane, i rzeczywiście jest to niezmiernie zajmujące dla takich nawet jak ja niespecyalistów.

Miałam tę przyjemność, że pani Jelica odemnie się dowiedziała o świeżo wydanem dziełku p. E. Sweykowskiego „O tkactwie i haftarstwie w Polsce“ i zapragnęła z niem się zapoznać. Pełna prostoty i serdeczności w obejściu, gościła nas wybornemi słodyczami i nalewkami własnego wyrobu, okazywała wielkie zainteresowanie się naszemi polskiemi i kobiecemi sprawami, co mię ucieszyło, tembardziej że kobiety słowiańskie w Dalmacyi, Chorwacyi i Bośnii w ogóle trzymają się zdaleka od wszelkiego ruchu umysłowego, postępowego i towarzyskiego nawet.

Okazało się wkrótce że pani Belović była uczennicą szkoły robót i t. p. (Stručna škola) w Zagrzebiu, którą ja zwiedzałam niedawno dzięki uprzejmości dyrektorki, nader wykształconej i eleganckiej osoby (założycielki także wyższej szkoły dla dziewcząt w Sofii. W szkole Zagrzebskiej oglądałam piękne bardzo hafty w guście ludowym i zrodziła się w umyśle moim chęć gorąca zawiązania stosunków między naszemi nauczycielkami szkół podobnych, Sztuką Stosowaną, Kołem artystek polskich i t. p., a przewodniczkami szkół w Chorwacyi, Dalmacyi i t. p.

Doświadczałam wszędzie tyle uprzejmości, że pewną jestem, iż zawiązanie bliższych stosunków, urządzanie wspólnych wystaw, pokazów, odwiedzin i t. p. nie napotkałoby na żadne trudności, tylko trzeba trochę inicyatywy z naszej strony.

Wycieczka taka, połączona z poznaniem pięknego kraju (Zagrzeb np. ładne i malownicze miasto odznacza się wybornym klimatem) i sympatycznych ludzi, sprowadziłoby i praktyczne rezultaty, nasunęłoby niejeden pomysł i projekt.

W Raguzie zwiedzając seminaryum nauczycielskie (t. zw. „Sjeparandja“) oglądałam także dział robót w guście ludowym, pobrałam adresy pań nauczycielek, a jedną z nich p. Bollerin odwiedziłam osobno, żeby obejrzeć śliczne hafty, które sama wykonywa i zbiór wzorów starożytnych i nowszych, jaki posiada.

Z żalem dowiedziłam się, że nauczycielki tamtejsze nie potrafiły dotąd utworzyć żadnego stowarzyszenia, i sądzę, że my moglibyśmy im w tem dopomódz. Ale do tego wszystkiego trzeba kraje słowiańskie odwiedzać i poznawać, czego z pewnością nikt nie pożałuje, trzeba tylko stosowną wybrać porę (nie wakacye, kiedy szkoły zamknięte).

Dodać tu muszę, że w kilka miesięcy później udało mi się zwiedzić oddział robót w szkole miejskiej w Norymberdze i z pewnym tryumfem zauważyłam, iż wyroby tamtejsze ani porównać się nie dadzą do naszych polskich, zwłaszcza pod względem gustu, pomysłów i tego, rzec można polotu słowiańskiego, odróżniającego sztukę naszą od innych, we wszelkich, najdrobniejszych nawet jej objawach.

M. Świderska.

Ankieta Biblioteki Dzieł Wyborowych.

Czytelnictwo polskie schodzi na manowce. Wyjątkowemu powodzeniu, jakiem zaczynają cieszyć się u nas wszelkie utwory, należące do kategoryi t. zw. *literatury sensacyjnej*, to-

warzyszy upadek smaku w szerokich warstwach czytelniczych i zanik w społeczeństwie oryentacyi prawdziwie literackiej.

Nie może traktować tego obojętnie wydawnictwo, które jak *Biblioteka Dzieł Wyborowych* ma za sobą tradycyę dziewięcioletniej pracy w kierunku dostarczania ogółowi zdrowej i pożywnej strawy duchowej o nieprzemijającej wartości estetycznej.

Z drugiej jednak strony, opierając byt wydawnictwa jedynie na poparciu czytelników, *Biblioteka* musi dążyć do możliwie wszechstronnego i zupełnego zaspokojenia ich życzeń i żądań.

Z uwagi na to postanowiliśmy porozumieć się bliżej z czytelnikami i długoletniemi przyjaciółmi *Biblioteki* i opracować wspólnie z nami dalszy plan wydawnictwa.

W tym celu najuprzejmiej prosimy o nadsyłanie nam zwięzłych a treściwych uwag, dotyczących dzieł, przez *Bibliotekę* dotychczas wydanych, opinii o nich, tudzież życzeń, które moglibyśmy na przyszłość uwzględniać.

Ufni w życzliwość, jaką nas darzą szerokie koła czytelników, wróżymy sobie, że *Ankieta* niniejsza da nam możność udoskonalenia wydawnictwa i zapełnienia luk, jakie w niem istnieją.

Po otrzymaniu i rozklasyfikowaniu odpowiedzi, które należy kierować wprost do Redakcyi, pod adresem: *Warszwaa, ul. Sienna N-r 2*, zdamy na tem miejscu wyczerpującą sprawę z wyników osiągniętych i przedstawimy czytelnikom szczegółowy program naszych zamierzeń.

Do udziału w *Ankiecie* zapraszamy nietylko stałych swoich odbiorców, ale wszystkich interesujących się stanem i kierunkiem czytelnictwa.

Redakcya
Biblioteki Dzieł Wyborowych.

Warszawa w listopadzie 1908 roku.

Chwila bieżąca.

— Dnia 6 b. m. otwarto pod przewodnictwem Chomiakowa posiedzenie V. Duma obraduje nad ustawą z dnia 9 listopada r. z., dzielącą między włościan ziemię, której nie posiadają. Poseł Rożkow dowodzi, czego włościanie oczekują od Dumy, krytykując działalność naczelników ziemskich i komisyi urządzeń rolnych, które mówca uważa za niesprawiedliwe i niewłaściwe. Czepielew prosi o utrzymanie w ustawie z dn. 9 listopada r. z. zasady własności rodzimej nie zaś osobistej.

— Nie został zaniechany zamiar, jak donosi „Kraj“, wyłączenia z Królestwa Polskiego kilka powiatów gubernii Lubelskiej i Siedleckiej i utworzenia z nich nowej gubernii, należącej do generał-gubernatorstwa kijowskiego. Opracowano w tej kwestyi nawet ponownie szczegółowy wniosek.

— Z powodu starań Synodu, o wprowadzenie niejakich ograniczeń przy przejściu z prawosławja na inną religję, Synod polecił zebrać dane statystyczne o liczbie osób, które odstąpiły od prawosławja po wydaniu manifestu o tolerancyi religijnej.

— Od d. 1 stycznia do 7 października r. b. według danych głównego zarządu przesiedleńczego wyjechało na Syberyę 619,904 osoby przesiedleńców i 86,926 wysłańców, z Syberyi zaś powróciło 32,064 przesiedleńców oraz 58746 wysłańców.

— W Zagrzebiu odbył się wielotysięczny wiec polityczny z udziałem delegacyi chorwackiej, przybyłej z Bośni oraz deputacyi złożonej z wybitnych Serbów wyznania mahometańskiego z tegoż kraju. Wiec powziął uchwałę wysłania telegramu do cesarza Franciszka-Józefa z wyrażeniem prośby o zjednoczenie wszystkich ziem słowiańskich — chorwackich i przyłączenia ich do państwa jako samodzielnej jednostki autonomicznej. Wyrażono również w telegramie podziękowanie za aneksyę Bośni i Hercegowiny. Podczas dalszych obrad na wiecu uchwalono ogłosić odezwę, nawołującą do utworzenia legionu chorwackiego. Po zamknięciu obrad uczestnicy wypełnili podpisami kilkadziesiąt list werbujących ochotników. Natychmiast zgłosiło się 5000. Mahometanie z Hercegowiny zobowiązali się dostarczyć 15.000 ochotników.

— Zatarg francuzko-niemiecki o uregulowanie zajścia w Casablance przyjmuje chwilami groźne położenie mogące wywołać wojnę pomiędzy obu narodami. Dyplomacya usiłuje zażegnać niezgodę za pomocą proponowanego sądu polubownego.

— Z powodu wyrażenia przez sekretarza stanu angielskiego Handinga, ministrowi spraw zagranicznych Milowanowiczowi, o sympatyi króla Edwarda dla Serbów i sprawy serbskiej, w Białogrodzie panuje niesłychana radość. W dniu urodzin króla Edwarda odbędą się w Białogrodzie manifestacye przed gmachem poselstwa angielskiego, kilka wieców politycznych, na których będą wygłaszane mowy wyrażające wdzięczność dla Anglii.

— W Petersburgu Rada ministrów zaaprobowała wniosek utrzymania w preliminarzu ministeryum spraw wewnętrznych kredytu 1.000.000 rb. na zapomogi dla funkcyonaryuszów policyi i korpusu żandarmeryi.

— Finlandzki senat uchwalił przyjąć projekt ustawodawczy o wprowadzeniu ślubów cywilnych dla osób wyznania prawosławnego.

— Pismo wychodzące w Buffalo „Polak amerykański“ pisze o kobietach głosujących w Ameryce. W Colorado 80 proc. kobiet zapisuje się na listy wyborcze, a 73 proc. oddaje głosy swoje do urny. W innych miejscowościach procent jest jeszcze wyższy, dosięga 90 proc. wszystkich kobiet. W Nowej Zelandyi głosowało 175.000 kobiet przed dwoma laty, a tylko niewielka liczba mężczyzn. W Australii w liczbie 628.285 głosujących znajdowało się 431.033 kobiet.

— Projekt samorządu miejskiego dla Królestwa Polskiego jest szczegółowo opracowany tylko ze strony finansowej. Społeczne atrybucye przyszłych samorządów są tylko naszkicowane w programie w zarysach ogólnych. Taką wiadomość z Petersburga otrzymały tutejsze sfery biurokratyczne jak donosi „Przegląd Poranny“ z dnia 15 b. m.

— Na trzecim posiedzeniu Rady ministra oświaty, na którym powzięto szereg uchwał, między niemi wystarczy zaznaczyć iż: katedry wakujące w uniwersytetach, mają być zajmowane przez kandydatów według naznaczenia ministra. Odbyło się również głosowanie różnych poprawek.

— W sprawie dopuszczania kobiet do uniwersytetu, Najjaśniejszy Pan łaskawie dozwolić raczył na wykłady tylko tym słuchaczkom, które mają dokończyć studya rozpoczęte w latach poprzednich. Nowych kandydatek przyjmować nie dozwolono.

— W Petersburgu z więzienia w Krzyżach został wypuszczony za kaucyą 5 tysięcy rubli student politechniki warszawskiej Uthof, syn warszawskiego wice-gubernatora, oskarżony o należenie do partyi S. D.

— „Muzeum patryotyczne“ ma być otwarte w Petersburgu przy Głównej Radzie Związku Narodu Rosyjskiego. Będą w nim zgromadzone portrety wybitnych działaczy Związku, sztandary, insygnja i t. d.

— Na zapłacenie 1000 rubli kary została skazana gazeta „Russkoje Słowo“ za podanie nieprawdziwych wiadomości z Ekaterinodaru.

— Uwolniono znanego działacza politycznego Czajkowskiego z Petropawłowskiej twierdzy w Petersburgu, za kaucyą 50 tysięcy rubli z których 20 tysięcy złożyła córka Czajkowskiego, a 30 tysięcy redakcya londyńskiego „Daily Chronicle“. Oskarżono Czajkowskiego jedynie o przebywanie w Rosyi pod fałszywym pasportem. Chociaż dozwolono mu obecnie na wyjazd za granicę, Czajkowski pozostał w Rosyi.

— Ministeryum oświaty wydało rozporządzenie, aby rady szkolne nie uwalniały w żadnym razie uczniów od egzaminów przejściowych, nawet w razie choroby ucznia odłożone być powinny do jesieni.

— W Austryi nastąpiło przesilenie gabinetowe. Dymisya całego gabinetu została przyjętą. Dawid Abrahamowicz pozostaje jednak nadal ministrem Galicyi. Na czele gabinetu austryackiego stanie bar. Bienerth.

— Interpelacye dotyczące wynurzeń cesarza Wilhelma, które tyle wrzawy zrobiły, wniesione będą w końcu posiedzenia Reichstagu, o czem zawiadamia przewodniczący Stolberg.

— Słynny publicysta Harden, głośny oskarżyciel ks. Eulenburga, w piśmie swem „Zukunft“ domaga się, ni mniej, ni więcej jak... abdykacyi cesarza Wilhelma. Władze nakazały konfiskatę pisma z powyższym artykułem.

— W Paryżu zawiązał się komitet w celu postawienia pomnika Mickiewiczowi, na jednym z placów Paryża. Inicyatywa wyszła od braci Leblondów utalentowanych pisarzy i wielkich przyjaciół Polaków.

— W wieku lat 72 zmarł znakomity dramaturg, członek Akademii, Wiktoryn Sardou. Warszawa zna kilka wybitnych jego komedyi — granych u nas niegdyś niepospolicie.

Otrzymaliśmy, z prośbą o zamieszczenie, następującą odezwę:

Przystępując do napisania broszury „Ruch kobiecy w Polsce“, która ma stanowić dalszy ciąg wydawnictwa jubileuszowego im. Orzeszkowej, podjętego przez J. Orkę (Melanję Rajchmanowa), zwracam się do wszystkich stowarzyszeń i związków kobiecych polskich w Królestwie i Cesarstwie z prośbą o dostarczenie mi danych co do działalności tychże instytucyi, jak również nazwisk ich założycieli i założycielek.

Z szacunkiem
Cecylja Walewska.

Warszawa, 30 października 1908 r.
Chmielna 56.

Od Wydziału Stowarzyszenia Techników i Biura Informacyjnego o źródłach wytwórczości otrzymujemy następującą wzmiankę:

Biuro Informacyjne o źródłach wytwórczości przy Stowarzyszeniu Techników w Warszawie (ul. Włodzimierska N-r 3/5) podaje do wiadomości Pp. przemysłowców i kupców, że udziela informacyi o wytwórczości przemysłu krajowego, rosyjskiego, austryackiego, francuzkiego, angielskiego, belgijskiego, amerykańskiego i innych, jak również daje wskazówki o nowych gałęziach przemysłu, odpowiednich do eksploatacyi, — oraz udziela porad technicznych przy pomocy odnośnych specyalistów.

SPROSTOWANIE.

W N-rze 46, w dodatku poświęconym łączności kół kobiecych, w artykule „Przemysł ludowy“ zamiast „kraina“ powtórzono parę razy „kraśna“.

Treść numeru:

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 15-ty tomu II powieści p. t. „Pamiętnik idealistki“, przez Malwidę von Meysenbug, w przekładzie R. C

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: Piotr Laskauer. Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa, Nowy-Świat 41.